

CZARNA STAL



Kamila Chrustowicz

CZARNA STAL



Kamila Chrustowicz

Rozdział I: Syn Attyki

Wojenna pożoga dogorywała pod falami przelanej krwi. Ziemię Kontynentu usłano żałobnymi stosami, zaś święta gleba Attyki niezmiennie dowodziła swojej płodności. Niewzruszona wobec tragedii rozgrywającej się u swoich granic, chroniona przez samą Matkę Gaję, zapewniła swoim mieszkańcom obfite plony i łagodną jesień.

W polu jęczmienia pracowało małżeństwo, mąż imieniem Pio wraz ze swoją żoną, Io. Byli to prości ludzie o wielkich sercach i krystalicznych duszach. Wśród sąsiadów cieszyli się szczerą sympatią za swój przyjacielski charakter. Mieszkali w skromnej, acz solidnej chacie z drewna, której stromy dach pokrywała gęsto spleciona słoma. Ich życie toczyło się zgodnie z rytmem natury, wokół wypasu owiec i pracy na roli. Dzięki hojności attyckiej ziemi, której składali każdego dnia dziękczynienie, nigdy nie zaznali głodu. Obojgu dopisywało znakomite zdrowie i pogoda ducha – przymioty właściwe mieszkańcom łaskawej Attyki.

I tylko jednego im brakowało w tej krainie płodności. Pomimo szczerego uczucia, jakim się darzyli, przez dwadzieścia lat wiernego pożycia nie doczekali się wymarzonego potomka.

Starzejący się Pio tracił nadzieję i szukał pociechy w codziennej pracy. Uśmiechał się szeroko, choć jego ciemne oczy matowiały czasem ze smutku.

Io nie wypominała tego mężowi, sama cierpiała po cichu. Każdej nocy modliła się do bogów i do ducha Attyki, prosząc tylko o jedno, o dziecko, które mogłaby otoczyć troską i miłością. Bogowie nie ofiarowali odpowiedzi na pokorne prośby kobiety. Io, prostoduszna i łagodna, nikogo nie obwinała i nie uskarżała się na swój los. Usilnie wierzyła, że spowite tajemnicą boskie plany, pewnego dnia złożą na jej ręce upragnionego potomka.

Tego ciepłego, jesiennego dnia wraz z mężem ścinała sierpem uginające się pod własnym ciężarem źdźbła jęczmienia, kiedy nagle dotarł do niej cichutki głosik. W pierwszej chwili pomyślała, że to zmysły ją zawodzą, rozgrzane mocnym, południowym słońcem. Jednak dźwięk narastał i stawał się wyraźnym kwileniem niemowlęcia.

Podążając za tym głosem, Io podeszła do zaplecionego w supeł, pęku jęczmienia, który delikatnie, źdźbło po ździebełku ścięła. Jej oczom ukazało się otulone pieluszkami zawiniątko, niecierpliwie wierzące się na ziemi.

Io westchnęła, jej oczy zaszklily się od napierających łez.

– O Attyko! Święta Attyko!

Odłożyła sierp i delikatnie ujęła zawiniątko w obie dłonie. Przytuliła je do piersi, nie powstrzymując wzruszenia, łzy spłynęły swobodnie po jej drżącym policzku.

Powoli odwijając pieluszki, nie zwróciła uwagi, kiedy Pio, zaalarmowany jej zachowaniem, podszedł do niej od tyłu i zajrzał przez ramię.

Przyglądał się zawiniątku wtulonemu w pierś żony ze zmarszczonym czołem.

– Co to jest?

Drżące usta Io wypełniła radosna ekstaza.

– Och Pio, w końcu, w końcu moje modlitwy zostały wysłuchane! Tyle lat czekaliśmy. A ja nie mogłam... Choć tak bardzo tego pragnęłam... Modliłam się dzień i noc, noc, i dzień. I spójrz! Bogowie mnie wysłuchali! Moje łono nie mogło wydać na świat dziecka, ale Attyka jest płodna! Attyka ofiarowała nam syna!

Pio wpatrywał się oniemiały w odsłonięte oblicze niemowlęcia.

Długo patrzył na czarny nosek utkwiony w małej mordce, bystre szafirowe oczka, maleńkie uszy wyrastające z czubka głowy pokrytej czarnym jak smoła futrem. Uwolnione z krępujących ruchy pieluszek szczenię przestało kwilić i wygodnie ułożyło się w ciepłej piersi Io.

Głos mężczyzny przeszedł w lękliwy szept.

– Io, to jest...

Io zaprotestowała gwałtownie, rzucając mężowi wyzywające spojrzenie.

– To nasz syn! Tak długo wyczekiwany. Bogini złożyła go w nasze ręce. Nie odmówimy jej łasce! To teraz mój mały chłopiec. Mój mały Attikus.

Desperacki upór żony ukrócił wszelkie argumenty, jakie cisnęły się Pio na usta.

Stali pośród szemrzącego łagodnie jęczmienia i wpatrywali się w drzemiące szczenię, którego widok napawał ich oboje rosnącą radością.

Pio odrzucił niepokojące myśli i z największą delikatnością pogładził palcem aksamitne czoło małego Attikusa.

Szczenię, wyczuwając pieszczotę, wyciągnęło rączki i malutkimi dłońmi chwyciło za palec.

Pio zaśmiał się w głębi piersi wzruszony.

– Silny jest. Nasz syn.

Nie dokończyli pracy tego dnia.

Wrócili do domu z najcenniejszym skarbem, jaki dotąd otrzymali do Attyki. Ponieważ od dawna oczekiwali na pojawienie się upragnionego potomka, w rogu izby stała już kołyska wystrugana w jesionie, gotowa przyjąć do siebie niemowlę. Dziecięce, wydziergane z wełny koszule zajmowały część miejsca w skrzyni z resztą odzienia.

Pio dyskretnie, aby nie urazić żony, przeszukał pieluszki, ale nie znalazł w nich niczego, co wskazałoby na pochodzenie szczenięcia. Głowił się nad tą zagadką. *Likantrop tutaj? Nigdy tak daleko się nie zapuszczali. Czy to przez wojnę? Czy przybędzie ich więcej?*, ostatnia myśl przeszła go dreszczem.

Znał tę starożytną nację jedynie z plotek, które łączyły w sobie mrożące krew w żyłach opowieści o brutalności, sekretnych rytuałach i ludożerczych aktach popełnianych na jeńcach. Poczuł, jak na jego pokryte zmarszczkami czoło występują krople zimnego potu.

Odwrócił się do Io z zamiarem podzielenia się swoimi obawami. Lecz zobaczył, z jaką radością i czułością Io ubiera małego Attikusa w wełnianą koszulę, jak przemawia do niego słodko, a on, śmieje się po swojemu i wyciągniętymi rączkami bada ciekawie twarz kobiety. Na ten widok Pio westchnął zrezygnowany. Odebranie żonie szczęścia, na które czekała od tylu lat, widział, jako okrutne i barbarzyńskie. Złożył swój los w boskie ręce, pocieszany miłością, jaką darzył swoją żonę.

Przekonał Io, aby utrzymali obecność Attikusa w sekrecie przed swoimi sąsiadami z doliny. Obawiał się ich reakcji na żyjącego pośród nich likantropa. Io przystała na pomysł męża. Nie kierowała nią obawa, lecz zazdrosna miłość matki wobec swojego pierworodnego.

Kolejne trzy lata życie syna utrzymywali w tajemnicy przed światem. Przestali zapraszać do siebie sąsiadów, a na ich uporczywe pytania odpowiadali zmyślonymi naprędce wymówkami: *Myszy nam się załęgły, wstyd was zapraszać! Sowy wydziobały nam dziurę w dachu, na głowę by się wam lało!*

Sąsiedzi przyjmowali te historie z pomrukiem i zmarszczonym czołem, lecz, darząc małżeństwo szacunkiem, zgodnie postanowili zaufać ich dobrej woli.

Jednak ciekawość rosła z każdym kolejnym miesiącem aż czwartego roku eksplodowała w niezapowiedzianej wizycie.

Krewny Pio, znany w całej okolicy winiarz Eron wraz ze swoją żoną Irmą oraz sąsiadem, Mikosem, pojawili się pod drzwiami ich domu. Nie dali się zwieść i Irma, zwinnie wymijając torującego przejście Pio, weszła do chaty. Przywitał ją paraliżujący widok. W kącie izby stała Io, blada i spięta, a za jej spódnicą kryło się czarne szczenię likantropa.

Irma zakryła usta dłonią.

Pio wskoczył między nią a żonę, osłaniając rodzinę własną pierśią.

Gdy dwaj mężczyźni również weszli do izby, zrozumieli, jaki to sekret skrywało małżeństwo.

Ton Erona wiał grobowym chłodem, niepodobnym do radosnego mężczyzny.

– Co to ma znaczyć? Skąd on się tu wziął?

– Eronie, proszę!
– To nasz syn! – Io broniła Attikusa.
– To likantrop! Tam, gdzie jeden, tam i więcej.
– Sama Attyka, łono Gai, nam go ofiarowała! – upierała się
kobieta.

Mały Attikus kulił się pod falami krzyku.

Wczepiony w spódnicę Io, obserwował rozgrywającą się przed
nim scenę bez zrozumienia.

W szczenięciu rósł lęk.

– Mamo, co się dzieje?

Io przyklęknęła i wzięła go w ramiona.

– Och moje kochanie!

Irma szukała odpowiednich słów, lecz jej własna matczyna natura
okazała zrozumienie dla postawy przyjaciółki, godnej lwicy.

Jej mąż nie był równie wyrozumiały.

Wymienił się spojrzeniem z Mikosem i zgromił Pio.

– Czy wiesz, na co nas narażasz?

Pio oponował.

– Przecież to jeszcze dziecko.

– Słyszałeś, co działo się na Kontynencie? Co jego nacja zrobiła?

– Nie, nie słyszałem. – skłamał bez wahania. – To nie ma nic
wspólnego z naszym synem.

Uderzony absurdem sytuacji Mikos, uniósł się gniewem.

– To nie jest wasz syn!

– Właśnie, że jest. – Pio niewzruszenie obstawał przy swoim. –
Attyka oddała nam to dziecko pod opiekę i choćbym miał poświęcić
życie, będę go kochał i wychowam na dobrą istotę.

– Pio, ty naprawdę w to wierzysz? – Eron załamał rękę.

– Całą duszą, kuzynie. A jeśli nie w smak ci rasa mojego syna, to nie masz tu czego szukać. Mam jednak nadzieję, że twoje serce zagłuszy ten krzyk, którym straszysz moje dziecko. Że odnajdziesz w sobie miłosierdzie, jakim obdarzył nas Wszechojciec. To z jego woli i za sprawą Matki Gai, ten chłopiec trafił między nas, aby miał tu swój dom i rodzinę. Nie sprzeciwimy się bogom i nie odrzucimy daru, jaki złożyli w nasze ręce.

Eron słuchał, błędząc oczami po poważnym, zaciętym obliczu Pio.

W uszach dzwoniły mu echa plotek, które podsłuchał na targu w Emporii, opowiadające o likantropach palących wsie, wyżynających mężczyzn, kobiety i dzieci, pijących krew swoich wrogów.

Myślał o własnych dzieciach i przeszył go dreszcz.

– On sprowadzi na nas nieszczęście. – mruknął, marszcząc czoło.

– Mylisz się! – zaprzeczyła żywo Io, nie wypuszczając Attikusa z uścisku.

– Io... – Irma siliła się na pojednawczy ton, – ten... ten chłopiec na pewno ma gdzieś tam matkę, która go szuka.

– Ja jestem jego matką! – wrzasnęła kobieta.

Pio odwrócił się do żony i objął ją ramieniem.

Mały Attikus splótł palce z dłonią ojca i przycisnął pyszczek do piersi matki, szukając bezpieczeństwa. Stanowili abstrakcję wymykającą się odwiecznemu prawu kosmosu.

Widzieli to ich sąsiedzi, czuli w kościach, jak bardzo ten likantrop nie pasował do ludzkiej społeczności w Attyce.

Jednak każde ich racjonalne słowo rozbijało się o niemożliwy do sforsowania mur rodzicielskiej miłości, którą Pio oraz Io obdarzyli Attikusa. Nie łączyła ich krew ani nacja, byli od siebie różni jak

słońce i księżyc. A mimo to krystaliczna, rodzinna więź wrosła w nich i zakorzeniła się w głębi duszy.

Pio spojrział kuzynowi w oczy. Pogłaskał kudłatą głowę szczenięcia, wkładając w ten gest naturalną, ojcowską czułość, jak gdyby pieścił rodzzonego syna.

Eronowi odjęło mowę. Każdą cząsteczką ciała czuł sprzeciw wobec małego znajdy, a prosty, ludzki lęk mocniej i mocniej zakleszczał jego umysł.

Lecz kochał Pio. Kochał go równie mocno, jak lękał się likantropów. Nie znalazł w sobie dostatecznych pokładów nienawiści, aby stłumiła przepełniającą go miłość.

Z woli bogów to szczenię znalazło drogę do łaskawej Attyki. Wszechojciec uchronił je od rozlewu krwi, Matka Gaja zaś złożyła w najczulsze ręce pod niebem. Kim jestem, aby negować boskie wyroki? A skoro ukochany kuzyn obdarzył ojcowskim uczuciem to porzucone szczenię, to muszę kochać go jeszcze bardziej, żebym mógł znieść ciężar jego decyzji, postanowił.

Westchnął ciężko i pokręcił głową zrezygnowany.

– Nie wiem, jak wy to sobie wyobrażacie. Ale wiem, że żadne słowa nie zmienią tego, co już postanowione. Niech się dzieje wola boska. Jak go nazwaliście?

– Attikus.

Mikos z niedowierzaniem przyglądał się, jak Eron podchodzi do rodziny, wyciąga rękę i zgodnie z przyjętym zwyczajem, wita małego Attikusa jako nowego członka ich społeczności.

– Attikusie, niech ziemia Attyki wykarmi twoje ciało, a błogosławieństwo Wszechojca wypełni twoją duszę miłością.

Małżeństwo poszło mężczyźnie zgodny, pełen ulgi uśmiech.

Przestraszony dotąd malec rozpromienił się i obejrzał nieznajomego z ciekawością właściwą dziecku, badając jego wyciągniętą dłoń małym, pulsującym nosem.

Widok czarnego, wilczego pyska wzbudzał w Eronie wątpliwości, lecz w imię miłości do swoich przyjaciół zdusił je w sobie i złożył ufnie los w ręce Wszechojca.

Spis treści

[Początek czytania](#)